

Kształcić? Obowiązkowo!

Rozmowa z dr hab. Aleksandrą Kucharską-Szeffler, śpiewaczką operową, profesorem Akademii Muzycznej w Gdańsku na Wydziale Wokalno-Aktorskim, gdzie prowadzi klasę śpiewu solowego

HANNA PILECKA: Gdyby spróbować słowami naszkicować portret Haliny Mickiewiczówny, to jakich przymiotników by Pani użyła?

ALEKSANDRA KUCHARSKA-SZEFFLER: Uśmiechnięta, dowcipna, życzliwa, powiedziałabym: „kolorowa”, elegancka, niezwykle utalentowana w wielu dziedzinach, błyskotliwa, miłutka, małutka... I jeszcze: degustatorka, czyli ceniąca rozmaite smaki. Kochająca swoją mamę, ciągle ją wspominająca.

Przez dwie dekady wspólnie zajmowały się Panie muzyką. Jak to się wszystko zaczęło?

Rok przed maturą pojechałam z mamusią do Pani Profesor na wcześniej umówione spotkanie. To był niesamowity zbieg okoliczności, że do niej trafiłam. Mama ze szkolnych lat zapamiętała, jak Maestra śpiewała i jak bardzo się podobała podczas koncertu dla uczniów w naszym rodzinnym Czerniechowie. Potem, kiedy miałam już kilkanaście lat, pewna znajoma opowiadała nam o swoich lekcjach u Maestry, podała nam też jej numer telefonu. I przyszedł ten dzień, kiedy lekko stremowane wysiadłyśmy z pociągu w Gdyni i z dwiema wiązaneeczkami kwiatów, bo dużego bukietu nie udało nam się zdobyć, bardzo punktualnie zadzwoniłyśmy do drzwi mieszkania przy ulicy Abrahama 84. Halinka, rozpromieniona, powitała nas bardzo serdecznie, posadziła moją mamę na sofie obok pianina, przy którym sama zasiadła. Zaproponowała kilka wprawek, rozśpiewała mnie, po czym zapytała: „No to co mi zaśpiewasz?”. W tym momencie zamarłam, bo nie pomyślałam o tym, żeby przygotować jakiś utwór, o mój Boże! Śpiewałam od dziecka, przeróżne piosenki, ale co tu wybrać? Wtedy mamusia mi pomogła, podrzuciła mi pomysł, a Halinka na to: „W tej tonacji?”. Niedowidząca – jak to sama się potem określiła: „Ja, stary klezmer” – tymi drobnymi paluszkami bezbłędnie znajdowała na pianinie akordy i dobierała tonacje. Zaśpiewałam *Życzenie* Chopina. Mama zapytała tylko: „Czy kształcić?”, a Maestra z emfazą wykrzyknęła: „Obowiązkowo!”. Przez ten rok raz w tygodniu przyjeżdżałam więc do Gdyni na lekcje. Wtedy pociągi często się spóźniały, przychodziłam na lekcje później, niż ustaliliśmy, wobec czego nie mogłam zdążyć na



Prof. Aleksandra Kucharska-Szeffler. Fot. Aleksander Szpakowicz

zaplanowany pociąg powrotny, a na kolejny musiałam czekać trzy godziny. Wkrótce utarło się, że zamiast na dworcze czekałam u Maestry, angażując się a to w sprzątanie nut, a to w jakieś inne drobne sprawy, o które poprosiła. Wiosną na kilka lekcji dołączył do nas pan Ryszard Ziółkowski, z którego akompaniamentem przygotowałam na egzamin wstępny utwory: *Se Florindo è fedele* Scarlattiego, jakieś ćwiczenie Vaccia i którąś z pieśni Moniuszki... ach, wiem – *Latem brzoźka*

mała z liściem rozmawiała. Udało się i rozpoczęłam studia w Akademii Muzycznej w Gdańsku.

Studiowała Pani w klasie Haliny Mickiewiczówny?

Tak, ona była moim pedagogiem. Przez sześć lat miałam swoją maistrę śpiewu solowego oraz pianistkę, panią Dorotę Czerny, która była moim pedagogiem korepetytorem. Natomiast przez to, że po tamtych zajęciach z czasów liceum zostawałam na dłużej i przysłuchiwałam się lekcjom innych uczniów Maestry, stało się to dla mnie normą. Nie spodziewałam się wtedy, że, jak teraz to czuję, samo słuchanie lekcji może przynieść duże efekty. Później spotkałam się z opinią, że gdy się idzie na kurs, nie tylko twoja lekcja jest ważna, bo często człowiek sam siebie nie słyszy, nie wie i nie czuje, co się zmieniło. Maestra mówiła: „Ten dźwięk jest lepszy, a tamten gorszy”, a ja myślałam w popłochu: „Ale ja niczego nie zmieniłam, wydawało mi się, że jest taki sam”. I dopiero gdy człowiek usłyszy uwagę pedagoga i to, jak kto inny się z tym problemem zмага, zaczyna dostrzegać różnicę – tak drobną, ale ważną. Rozpoczęłam studia na Wydziale Wokalnym, zanim po paru latach przekształcił się w Wokalno-Aktorski. Studia wokalne miały niezbyt rozbudowaną siatkę godzin, więc na pierwszym roku przychodziłam najczęściej na godzinę dziesiątą, a że następne zajęcia zaczynały się dużo później, siedziałam na lekcjach moich koleżanek i słuchałam.



Od lewej: Irena Nazarko, Kazimierz Sergiel, Maestra, Krystyna Raszeja, Bożena Porzyńska. Fot. z archiwum Akademii Muzycznej w Gdańsku

Jeszcze podczas studiów dostarczała Pani Maestrze powodów do dumy, jak wtedy, gdy wygrała Pani konkurs imienia Ady Sari.

Najpierw byliśmy z Maestrą w Warszawie na Studenckim konkursie na wykonanie pieśni i ballad Stanisława Moniuszki i tam zajęłam trzecie miejsce. Później zdobyłam drugie miejsce w Konkursie im. Antonina Dwořaka w Karlowych Warach i to była dla mnie niezwykłą przygodą, gdyż musiałam tam

pojechać sama, bez swojej pianistki, bo pani Dorota Czerny nie dostała paszportu. Na miejscu przydzielono mi pianistkę, której nie znałam, ale nasza współpraca potoczyła się znakomicie. Potem dopiero były Dni Sztuki Wokalnej im. Ady Sari i tam, w Nowym Sączu, dostałam pierwsze miejsce. Maestra zasiadała wtedy w jury i czułam, że dla niej to też są wielkie emocje. Zresztą razem ze mną w konkursie brała udział moja koleżanka, Zofia Kotlicka (teraz Zofia Kotlicka-Wiesztoridt), i ona także odebrała nagrodę – dla najlepszej koloratury. Myślałam, że Maestra była z nas obu bardzo dumna.

Kiedy w roku 1986 uzyskała Pani dyplom z wyróżnieniem, Maestra na pewno czuła satysfakcję i wzruszenie, ale to chyba nie wyczerpuje złożoności relacji między Paniami. Wiele osób wspominających Maestrę wskazuje na Panią jako osobę, która ogromnie dużo czasu poświęcała na organizację i ułatwienie życia wspaniałej, ale mocno schorowanej pani pedagog.

To się zaczęło jeszcze przed maturą, podczas tego czekania na pociąg, a potem na pierwszym roku, ponieważ miałam tak niewiele zajęć, Maestra często mówiła: „Wiesz, Oleńko, jestem zmęczona, odwieziesz mnie do Gdyni, a ja ci zrobię lekcję w domu”. I po takiej lekcji w domu zajmowałyśmy się porządkowaniem, a gdy pojawiały się sprawy wymagające większego nakładu pracy, to tym bardziej Maestrze pomagałam. O tym jest mowa w książce – o przyjęciach, o sprzątaniu pawlaczy. W pawlaczach były i zdjęcia, i suknie koncertowe. Maestra opowiadała, jak Ada Sari oddawała do przerobienia swoje dawne kreacje tak, że starczało na dwie suknie – dla niej samej oraz dla Halinki... Lecz oprócz pamiątek z fascynujących wydarzeń w pawlaczach leżały całe stopy nut, również orkiestracji. Dowiedziałam się, że kiedyś, jak artysta zamierzał zaśpiewać arię z orkiestrą, to najczęściej jechał na koncert z własnym materiałem orkiestrowym. Takie rozwiązanie uważano za najbezpieczniejsze. Dzisiaj to wygląda nieco inaczej, te materiały są wypożyczane, ale Maestra miała własne orkiestracje do wszystkich najbardziej popularnych arii koloraturowych, z którymi jeździła na koncerty. A jej uczniowie, zarówno studenci Akademii Muzycznej w Gdańsku, jak i słuchacze Studium Wokalno-Aktorskiego przy Teatrze Muzycznym w Gdyni, przybiegali do Maestry i wypożyczali te nuty. Potem Maestra nieraz mówiła: „Oleńko, gdzie ja je podziałam, komu ja to dałam, zupełnie nie wiem”. Zakładała jakieś zeszytiki, gdzie ktoś się podpisywał, ale gdy tam zaglądała, mówiła na przykład: „No jest wpisany, ale on twierdzi, że oddał, a ja tu nie widzę, żeby się odpisał!”. Generalnie nie mogła znaleźć sposobu na to, by wszystkie wypożyczone nuty wracały do niej. Zresztą to działało w dwie strony, bo gdy sprzątałismy zbiory Maestry po jej śmierci, to gdzieś na dnie szafy też znalazło się kilka książeczek czyjejs własności, o których ona zapomniała.



Jedno z ostatnich zdjęć Maestry. Od lewej: Aleksandra Kucharska-Szeffler, Irena Czarnecka, Halina Mickiewiczówna, Tomasz Krzysica, Krystyna Gorzelniak-Pyszkowska. Fot. z archiwum Akademii Muzycznej w Gdańsku

A jak ułożyły się te relacje po dyplomie, gdy podjęła Pani pracę zawodową?

Moja praca zawodowa na chwilę się zatrzymała, kiedy w roku 1987 urodziłam pierwszego synka, a w następnym roku drugiego. Z pierwszym synkiem mieszkaliśmy w gdańskim akademiku, bo mąż jeszcze studiował, w takim malutkim pokoju „dla rodzica z dzieckiem”. Jednak potem, gdy na świat miał przyjść nasz drugi syn, ja na niemalże dwa lata wróciłam do rodziców do Czerska, a mąż w tym czasie w Gdańsku szykował dla nas gniazdko. To się wtedy nazywało „adaptacją strychu”, a kiedy mąż już przemienił ten strych w mieszkanie, tam wprowadziliśmy się całą rodziną. Tak zamieszkaliśmy przy ulicy Krosna na Starym Mieście, blisko uczelni, jakieś sześć minut piechotą. W tym czasie próbowałam wrócić do formy śpiewaczej i chyba na początku roku 1990 pojechaliliśmy z kolegami, także tymi młodszymi, do Warszawy na przesłuchania do Opery Kameralnej, gdzie szukano wykonawców do projektów mozartowskich. Przyjechaliliśmy w kilkoro, wskazano nam osobną salę, gdzie mogliśmy się przygotować do przesłuchania. Pamiętam, że na prośbę kolegi pomogłam mu się rozśpiewać. Okazało się, że był bardzo zadowolony i po powrocie „doniósł” Maestrze, że dobrze go rozśpiewałam. A Maestra, ponieważ wtedy miała bardzo dużą klasę, bodajże piętnaście osób, zapytała: „Oleńko, pomożesz mi? Ja cię wezmę na uczelnię, będziesz ze mną pracować”. I tak od roku 1991 pracuję w Akademii Muzycznej. Z początku byłam niejako asystentką Maestry, przez dłuższy czas nie miałam swoich studentów, tylko z młodszymi dziesięcioma osobami z jej klasy prowadziłam po jednej lekcji, a drugą lekcję już mieli z Maestrą. Ówczesna siedziba uczelni przy ulicy Łagiewniki już wtedy pękała w szwach. Moje mieszkanie

było blisko, na uczelni dokuczała nam ciasnota, a że czasami trzeba było się tą młodzieżą troszkę bardziej zaopiekować, więc dziewczęta do mnie wpadały do domu na lekcje. Siłą rzeczy moje dzieci stawały się słuchaczami naszych lekcji, często trwających bardzo długo.

Czy w dorosłym życiu dzieci Państwa także zajęły się muzyką?
Wszyscy troje ukończyli Średnią Szkołę Muzyczną, lecz nikt nie został zawodowym muzykiem. Jednak nadal, zwłaszcza dwoje, bardzo lubi uprawiać muzykę. To im zostało i właściwie to było moją ideą. Chociaż oczywiście miałam swoje marzenia rodzica, dla żartu tak sobie myślałam: „Dwoje skrzypiec, altówka, wiolonczela mojego męża...” (*śmiech*). Wiedziałam, że dzieciom można coś dać, ale wyboru dokonają one same. Wydawało nam się, że istotne jest danie im możliwości poznania muzyki, zależało nam też na tym, by rozumieli, dlaczego my to robimy. Nie wiem, czy do końca wszyscy rozumieją, ale mam taką nadzieję, że bardziej, niż gdyby przez tę szkołę muzyczną nie przeszli. Zresztą z różnych stron słychać głosy, że muzyka ma bardzo dobroczynny wpływ na rozwój i potencjał młodego człowieka.

Jak długo trwała Pani zawodowa współpraca z Maestrą?

Dziesięć lat, do śmierci Maestry w listopadzie roku 2001. Zaczęłam w październiku roku 1991 i po jakimś czasie Maestra oddała mi dwie przygotowane przez siebie studentki do samodzielnej pracy, ale wciąż przysłuchiwała się naszym lekcjom, nadzorowała.

Czyli pani Halina prawie do samego końca była zawodowo aktywna?

Maestra zmarła mając siedemdziesiąt osiem lat. Dzisiaj często jest tak, że gdy profesor skończy siedemdziesiąt lat, musi odejść z uczelni. Jednak w tej naszej „branży”, czyli w muzyce, tak jak to obserwowałam, wszyscy pedagodzy, wszyscy profesorowie – czy to pianiści, czy śpiewacy – pracowali do ostatnich swoich dni, dopóki mogli. Nie było tej cezury, która każe im zrezygnować, a miało się wrażenie, że jeżeli oni odejdą z pracy, to odejdą w ogóle z tego życia. Myślę, że Maestra też nie wyobrażała sobie, że może nie przyjechać na uczelnię, że studenci mogą przestać do niej przyjeżdżać. To był jej tlen, tak chyba mogę powiedzieć, my byliśmy jej tlenem potrzebnym do życia. Co prawda część lekcji robiła w swoim gdyńskim mieszkaniu, ale raz w tygodniu przyjeżdżała do Gdańska. Miała kłopoty z poruszaniem się, wtedy już dojeżdżała do uczelni taksówką, niewątpliwie z dużym wysiłkiem wchodziła na czwarte piętro, ale ten cotygodniowy rytuał był czymś, bez czego nie mogła się obejść. Zaczynała od przywitania się z panem Mirkiem w barze i zjedzenia u niego śniadanka, potem odbywały się lekcje, a przy okazji jeszcze kilka spotkań z odwiedzającymi ją osobami, po czym zjadała obiad u pana Mirka i dopiero potem wracała do Gdyni.

Wtedy jeszcze Akademia Muzyczna, choć z trudem, mieściła się przy Łagiewnikach?

Tak, a w 2001 roku uczelnia przeprowadziła się na ulicę Łąkową i wiadomo było, że Maestra będzie przyjeżdżać już nie na Łagiewniki, a na Łąkową. Chyba też się cieszyła z tych sukcesów uczelni, bo to była zupełnie nowa rzeczywistość, bardziej przestronne i bardziej prestiżowe wnętrza, tak to wszyscy odbieraliśmy. Wiedziała, że dostanie swoją salę, w której będzie uczyła, miała też marzenie, żeby tę salę nazwano imieniem Ady Sari. Zdążyła przyjechać, gdyby tak policzyć, może cztery razy, może pięć. Jeszcze w listopadzie niecałe dwa tygodnie przed śmiercią zdążyła wyprawić swoje urodziny. Przyjechała, chyba nawet nie zrobiła lekcji, tylko usiadła w barze u pana Mirka i przyjmowała gości, którzy przynosili całe narezcza kwiatów. To było jej święto. Jednak odprowadzając ją do łazienki, nagle poczułam, jak zapada się w sobie, nie mogła iść dalej. Obróciła to w żart, mówiąc, że zaraz to biodro sobie poprawi, ustawi. Kilka dni później trafiła do szpitala, co początkowo traktowaliśmy jako kolejny jej pobyt diagnostyczno-rehabilitacyjny. Niemniej zaniepokoiło mnie, że choć serdecznie każdego z nas po imieniu witała, na tym właściwie urywał się kontakt i Maestra „osuwala się” w drzemkę. Nawet gdy wrócił ze Stanów nasz kolega, o którego Maestra poprzednio bardzo się bała, bo przebywał w Nowym Jorku podczas ataku na World Trade Center, uśmiechnęła się do niego i usnęła. Silne leki przeciwbólowe tylko częściowo tłumaczyły ten stan, Halinka powoli zapadała w śpiączkę.

A co mówili lekarze?

Jej wnuczka Justyna Trapkowska po kolejnej diagnozie dowiedziała się, że osteoporoza Maestry niestety przeszła w osteolizę nowotworową. Tak naprawdę, gdyby Maestra wyszła z tego szpitala, musiałaby poruszać się na wózku. Myśmy sobie wszyscy z tego zdawali sprawę. Maestra miała wielu oddanych przyjaciół, powstawały plany, jak zamienić gdyńskie mieszkanie na parterowe, różne koncepcje padały, ale ja czasem tak myślę, że ona się na to już nie zgodziła. Była bardzo samodzielną osobą, która z własnego wyboru zawsze chciała mieszkać sama, kochała ludzi, kochała swoją rodzinę, ale w domu wszystko musiało funkcjonować według jej zamysłu. Bardzo nie lubiła, jak ktoś jej coś przestawił, co jest charakterystyczne dla osób ze słabym wzrokiem. Przy tym zawsze powtarzała, że nie mogłaby bez ludzi żyć, że tak ogromnie jej są potrzebni. I nie tylko dlatego, że niosą pomoc w trudach codzienności, ale ponieważ była naprawdę towarzyską osobą. Potrzebowała spotkań, potrzebowała uznania, lubiła bardzo, gdy ktoś wspominał jej sukcesy z czasów, kiedy koncertowała. Lubiła opowiadać o tamtych latach. Ciekawą rzecz zauważyła Kasia Gawęcka – że Maestra z wielką pieczołowitością archiwizowała wszystko, co dotyczyło jej życia artystycznego, a zupełnie odwrotnie miały się sprawy z informacjami o życiu prywatnym. Pisząc biografię, Kasia do

tych informacji docierała czasem z wielkim trudem, a niektórych w ogóle nie udało się zdobyć.

Wstęp do wydania pierwszego rozpoczyna się opisem sytuacji po śmierci Maestry, kiedy jej ukochana wnuczka Justyna wraz z Panią starannie pakuje te archiwalia do wielkich pudeł w nadziei, że na ich podstawie Katarzyna I. Gawęcka napisze kiedyś biografię. Czy mogłaby Pani opowiedzieć nam o spotkaniach z panią Katarzyną, dokumentalistką i autorką wielu książek, w tym napisanego wspólnie z mężem Maciejem Gawęckim tomu Tyrmand i Ameryka, który obecnie czytamy z wielką satysfakcją?

Niesamowite wrażenie zrobiła na mnie opowieść Kasi o tym, jakie wydarzenie po kilku latach od otrzymania tych pudeł skłoniło ją na powrót do myślenia o biografii Halinki. Odczytałam to jako „palec Boży”, bo kiedy Kasia o pierwszej w nocy postawiła ostatnią kropkę w ostatniej korekcie książki o Tyrmandzie, powiedziała „Amen” i dla zrelaksowania się włączyła telewizor; to zobaczyła na ekranie i – co ważniejsze – usłyszała Halinkę! Prawdopodobnie jakiś nocny program odtwarzał dawne spotkanie z Maestrą. Kasia w pierwszej chwili onie miała, ale zaraz potem powiedziała sobie: „Aha, to już wiem, co mam robić”. Tak jakby śpiewaczka przemówiła do pisarki: „Bo ja tu już czekam!”. A my, muzycy, co roku świętowaliśmy rocznice poświęcone Halince, zawsze pomiędzy 7 a 19 listopada, czyli rocznicami jej urodzin i odejścia. W roku 2007 z tej okazji zorganizowałam koncert i spotkanie u Kapucynów w kościele św. Jakuba położonym przy ulicy Łagiewniki na wprost okna sali nr 18 w naszej dawnej Akademii. W tej sali przez całe lata zajęcia prowadziła Halinka, a my, śpiewając, patrzyliśmy na dach i wieżę kościoła. Tamto spotkanie u Kapucynów na zawsze pozostanie w mojej pamięci, gdyż przyszła na nie Kasia Gawęcka, chyba zawiadomiona przez Justynę. Po koncercie przy herbacie i słodkościach już w domu zakonnym Kasia poprosiła o głos. Powiedziała, że musi nas wszystkich, halinkowych przyjaciół, przeprosić za lata ciszy. Było to niezwykle ujmujące, bo przecież nie było żadnego przymusu, doskonale wiemy, że praca twórcza tego nie znosi! Bardzo się ucieszyliśmy, kiedy Kasia powiedziała, że teraz, kiedy udało jej doprowadzić do finału wcześniejsze zobowiązania, zabiera się za książkę o Halince. Oczywiście zdawaliśmy sobie sprawę, że książki nie pisze się w miesiąc i trochę jeszcze poczekamy. Tak też się stało, ale już wtedy dla mnie rozpoczął się czas, kiedy z Kasią Gawęcką bardzo zbliżyliśmy się do siebie – ciągle pojawiały się nowe pytania i sprawy do ustalenia, a my naprawdę dobrze się rozumialiśmy.

Autorka pisze, że w momencie przystąpienia do pracy nad Ciepłym głosem i serca niewiele wiedziała o świecie opery i estrady. Doskonale to nadrobiła, co widać w książce, zresztą miała już ogromne doświadczenie w rekonstrukcji zdarzeń

i interpretacji archiwaliów. Jednak pierwsze kroki w środowisku muzyków musiały być niełatwe...

Na początku zrobiła ze mną długi wywiad, a ja wtedy starałam się wskazać osoby, z którymi może należałoby porozmawiać. Kasia szła jak po nitce do kłębka, każdy kolejny rozmówca wskazywał innych i to grono stało się o wiele szersze, niż zasugerowane przeze mnie. Ale trochę się czuję winna, bo o kilku osobach zapomniałam. Potem i ja tego żałowałam, i niektóre z tych osób wręcz wyrażały swój żal, że nikt ich nie zaprosił do dzielenia się opowieściami o Halince. Kasia, szykując drugie wydanie uzupełnione, starała się niejako wyrównać szanse, dotarła jeszcze do dziewięciu osób, w tym do pani Doroty Czerny, której pominięcie było z mojej strony mocnym uchybieniem, bo przecież pani Dorota towarzyszyła mi jako pianistka przez sześć lat. Co prawda po studiach nie byliśmy już w stałym kontakcie, ale to nie usprawiedliwia ułomności mojej pamięci. Bardzo się cieszę, że w nowym wydaniu możemy przeczytać jej wspomnienia. Chciałam tu zwrócić uwagę na ogrom pracy, którą Kasia włożyła nie tylko w samo pisanie książki, z natury rzeczy sprawiające mnóstwo niespodzianek, ale i w inne działania dotyczące Maestry. Pisząc biografię, niesamowicie związała się z Halinką, której przecież nie zdążyła poznać osobiście. Opowiem takie zdarzenie. Kasia mówi: „Tu chciałam jeszcze takie jedno zdjęcie dołączyć do książki, powiedz, Olu, co o nim myślisz” i szuka, szuka... „No przecież było tutaj przed chwilą, a nie mogę go znaleźć! Wiesz co, Halinka chyba go nie chce. Ona nie wyglądała na nim najkorzystniej” (*śmiech*). Tak bardzo Halinka była jej bliska, jakby z nią rozmawiała przez cały ten czas!

Ważnym wątkiem w tej biografii jest bezinteresowność. Z podziwem czytam o studentkach, utalentowanych młodych artystkach, które latami Maestrze pomagały prowadzić dom i dojeżdżać kolejką trójmiejską z Gdyni do Gdańska. Pani przeszła przy Maestrze długą drogę, od przygotowywania wystawnych przyjęć do organizacji dyżurów wizyt podczas jej ostatniego pobytu w szpitalu – tak, by jej nadmiarem gości nie zmęczyć, lecz by każdy mógł ją odwiedzić.

Przypomniały mi się teraz słowa mojej cici, też bardzo bezinteresownej osoby: „Rzucisz za siebie, znajdziesz przed sobą”. Kto inny powiedział, że jeżeli człowiek w tym dawaniu znajduje radość, to już jest nagrodzony. Urok i niezwykła osobowość Maestry, jej umiejętność okazywania wdzięczności, a także świadomość, że ona nas potrzebuje, powodowały, że tym bardziej chcieliśmy pomóc. Zauważyłam też, że Maestra miała w sobie coś takiego, że ona nas tak potrafiła porwać do siebie, tak zafascynować, że człowiek był cały bez reszty dla niej. W pewnym momencie nazwałam to żartobliwie „sztuką uwodzenia”. To oddanie, jak we wszelkich związkach i uczuciach, układało się sinusoidalnie, bo każdy z nas przechodził różne etapy życia, jak na przykład kiedy ja założyłam rodzinę, urodziłam dzieci

i więcej uwagi musiałam kierować na nasze sprawy domowe, ale wtedy też miałam wrażenie, że inni byli bardziej przy Maestrze. Potem wróciłam do Gdańska i znowu byliśmy blisko, pracując razem. Do końca jedną rzeczą, którą z mężem prowadziliśmy, było wypożyczanie dla Maestry kaset z Biblioteki Książki Mówionej. Wtedy to nie były takie leciutkie płyty jak teraz, każda książka to był ciężki karton kaset i mój wysoki małżonek z silnymi ramionami bardzo się przydawał przy ich transporcie do Gdyni. Jednocześnie to była taka symbioza, bo zanim odnieśliśmy te książki do biblioteki, też ich słuchaliśmy podczas wykonywania prostych czynności niewymagających skupienia jak zmywanie naczyń. A Maestra uwielbiała książki i czasami je pożyczaliśmy równocześnie z dwóch bibliotek. Kolejna rzecz, to że Halinka bez przerwy dziergała na drutach.

Jak to możliwe, że nie widząc, potrafiła tak sprawnie robić na drutach?

U osób niedowidzących i niewidomych kosztem tego jednego zmysłu wyostrzają się inne, na przykład czucie w palcach. Być może częściowa utrata wzroku przyczyniła się również do wyostrenia fenomenalnego słuchu Halinki. Dziergała na wycucie, także podczas jazdy trójmiejskim pociągami, czym zadziwiała współpasażerów, bo w tym czasie patrzyła w okno. Palce miała niezwykle sprawne (choć artretyzm czasem bardzo jej dokuczał), problem pojawiał się, kiedy jej spadło oczko. W związku z tym zawsze miała kilka robótek naraz – jeśli oczko spadło, to odkładała i robiła tę drugą, a gdy ktoś wtajemniczony do niej przyszedł, to łapał wszystkie oczka i ona robiła dalej. Tak powstawały sweterki, szaliki, czapeczki, apaszki, niezliczone ilości bardzo ładnych rzeczy. Nie było tak, że ona zupełnie nie widziała. Gdy chciała takiemu sweterkowi się przyjrzeć, podnosiła go i patrzyła w inną stronę tak, jak zazwyczaj robią osoby cierpiące na chorobę Stargarda, czyli na zanik widzenia centralnego. Oczywiście to jej widzenie obwodowe stawało się z czasem coraz bardziej ograniczone. Ale kiedy chciała sprawdzić nutki, ubierała specjalny okular i czasami przy dużym wysiłku, patrząc kątem oka, była w stanie jakiś szczegół dostrzec. Po pracy włączała film w telewizji i dziergała te swetereczki – dla siebie, dla córki, dla wnuczki, dla przyjaciół, dla znajomych... Nie przypominam sobie Halinki z szydełkiem, zawsze ją widywałam z drutami.

A czy Maestra opowiadała Pani o okolicznościach zejścia ze sceny w roku 1968, po ćwierćwieczu koncertowania? Jej wier-na publiczność nie bardzo mogła się z tym pogodzić.

Była prawdziwą artystką, kochała scenę, kochała śpiewanie, kochała publiczność. Jednak, jak sama mówiła, głos koloraturowy jest niczym popis sportowca. Maestra mi opowiadała: „Do pewnego wieku koloratury nie sprawiały mi żadnych trudności. Kiedy poczułam, że już tak łatwo mi nie wychodzi, to sobie poszłam – w repertuar liryczny. W programach

koncertów umieszczałam coraz więcej pieśni, które zresztą uwielbiałam interpretować. Niestety, po takich koncertach dostawałam recenzje typu: »muzykalna, wrażliwa...«, same ochy i achy, »ale niezapomniana w repertuarze koloraturowym«. Ty wiesz, jak mnie to wkurzało? I powiedziałam – dość”. Odeszła, kiedy jeszcze mogła śpiewać, kiedy się nią wciąż zachwycało. Myślę, że nie zniosłaby, gdyby było inaczej. Ale też mówiła, że w pożegnaniu ze sceną bardzo pomogło jej to, że już uczyła, że już tę pałeczkę sztafetową przekazywała dalej. Spełniała się w nauczaniu, a to też się wiązało z tym, że tak lubiła ludzi. Nie daj Boże, żeby ktoś powiedział: „Tego to nie nauczysz”, natychmiast gniewnie ripostowała: „JA go nie nauczę?!”. Zawsze taka była. Cytowała na przykład, jak jej mama skomentowała jakieś wyzwanie przy szydełkowaniu, chodziło chyba o pokrowce na krzesła: „Tego nie dasz rady”, a Halinka: „JA nie dam rady?!”. I zrobiła! Niezwykła była Halinka i to widać w tej niezwykłej książce. Kiedy Kasia Gawęcka w trakcie jej pisania opowiadała mi, w jaki sposób zdobywa kolejne wywiady i informacje, od kogo, gdzie jeździ, kto co mówi, pomyślałam i powiedziałam: „Wiesz, Kasiu, mam wrażenie, że ty jedna naprawdę znasz Halinkę. Każdy z nas spotkał Halinkę na jakimś etapie życia i tylko ten etap jest mu bliski, a ty poznałaś ją od początku do końca”.

Czytałam, że zorganizowana w Akademii Muzycznej promocja pierwszego wydania książki Katarzyny Igi Gawęckiej również doczekała się znakomitej oprawy muzycznej.

W roku 2009 pobrzmiwała już w murach uczelni idea stworzenia cyklicznych Gdańskich Dni Wokalistyki, ale nie było wiadomo, jak one mają wyglądać. Po wstępnych kulturalnych rozmowach nasz ówczesny dziekan, a obecnie rektor Akademii Muzycznej profesor Ryszard Minkiewicz powiedział: „Oleńko, chciałbym, żeby jednak pierwsze Gdańskie Dni Wokalistyki były w całości poświęcone Mickiewiczównie. Zrobisz? Bo jak nie ty, nikt inny tego nie robi”. Kasia Gawęcka chyba już wtedy kończyła pracę nad biografią i profesor zarządził, by połączyć I Gdańskie Dni Wokalistyki z promocją książki oraz z otwarciem sali imienia Haliny Mickiewiczówny. Bowiem po śmierci Maestry profesor Piotr Kusiewicz stwierdził: „Halinka chciała, żeby sala była poświęcona Adzie Sari, ale to jest bez sensu, bo Ada Sari tu nie mieszkała ani tu nie uczyła. Tu uczyła Halina Mickiewiczówna. To jej musi być poświęcona ta sala”. I dla nas to było oczywiste. Wobec tego, przede wszystkim z Kasią Gawęcką, zaczęliśmy planować program Gdańskich Dni oraz jak ma wyglądać sala. Zaproponowałam mojemu kolegę plastyka. Okazało się, że jego dorobek jest znany w środowisku i że Kasia go bardzo ceni. I rzeczywiście, Tomasz Sójka zaprojektował salę imienia Halinki, nie wiem, czy była w niej Pani?

Ależ nie, a czy naprawdę mogłabym?

Musimy się tam spotkać! Ja tam prowadzę zajęcia, oczywiście czasami także ktoś inny, ale tak się umówimy, że ja w niej będę,



Sala im. Maestry Haliny Mickiewiczówny w Akademii Muzycznej w Gdańsku.
Fot. Maciej Rybicki / aMuz

kiedy Panią zaproszę. Tomasz potem mi opowiadał: „Wiesz, gdy wszedłem tam po raz pierwszy i zobaczyłem tę biedną studentkę, która w tej przerażającej bieli musi wykreować jakąś artystyczną wartość...” (*śmiech*). W efekcie sala jest cała w kolorach, są tam portrety, są zdjęcia. Chciałoby się może więcej kwiatów, które Halinka tak lubiła, ale w Akademii nikt przecież na co dzień nie mieszka, a sala jest stosunkowo ciemna, zwłaszcza po południu, i nie wszystkie rośliny czuły się tam najlepiej. Wracając do pierwszej gali, to o oprawę muzyczną zadbał profesor Piotr Kusiewicz. Szczęśliwie się złożyło, że profesor mniej więcej w tym czasie odkrył Katarzynę Dondalską, koloraturę niezwykłą i osobę nietuzinkową, która przez rok studiowała u Maestry i bardzo chciała być w jej klasie, ale równocześnie grała na skrzypcach i dostała stypendium „skrzypcowe” do Niemiec,

toteż ich drogi się rozeszły. Teraz Kasia Dondalska jest znana głównie jako śpiewaczka, choć także od czasu do czasu gra na skrzypcach. Z entuzjazmem zgodziła się wystąpić na naszym koncercie, czyli wypełnić go swoim repertuarem w stu procentach. Naturalnie, wydarzenie tej rangi nie mogło się obyć bez orkiestry i tym zajęły się władze Wydziału i Uczelni... I oczywistym było, że orkiestrę przygotuje i poprowadzi profesor Przemysław Stanisławski, który wtedy pracował na naszym wydziale, a który swego czasu całe godziny spędzał na rozmowach z Halinką. A profesor Kusiewicz, jak to on, wymyślił jedyny w swoim rodzaju tytuł koncertu: „Stratosferyczne przeszerzenie głosu koloraturowego”.

Pan profesor Piotr Kusiewicz, śpiewak operowy i pianista, ma ogromne zasługi dla zachowania pamięci o kunszcie wokalnym Maestry. Poproszę Panią, by o nich opowiedziała. Jeszcze za życia Halinki profesor opracował jej pierwszą płytę z dobranych przez siebie nagrań archiwalnych. Poprowadził też wspólnie z Piotrem Orawskim, radiowcem o pięknym głosie, i w obecności Maestry galę promocyjną tej płyty w gdańskim Ratuszu Staromiejskim. Był także pomysłodawcą i niejako „autorem” kolejnej płyty dołączonej do biografii oraz promującej I Gdańskie Dni Wokalistyki. Profesor Kusiewicz ze swoją niezwykłą miłością do pięknych głosów, a koloratur w szczególności, oraz doskonałą pamięcią, dzięki której w zakamarkach różnych instytucji odnajdywał nagrania Haliny Mickiewiczówny, zdołał skompletować tę już drugą, nadzwyczaj ciekawą płytę z jej bardzo różnorodnym repertuarem, nie tylko koloraturowym. Maestra kochała piosenkę i jako pierwsza po wojnie śpiewaczka stanęła przed mikrofonem Polskiego Radia, gdzie śpiewała między innymi piosenki dla dzieci. Dzięki profesorowi

i my możemy ich posłuchać. Żeby zilustrować, jak fenomenalną pamięć ma profesor, przytoczę naszą niedawną rozmowę: „Oleńko, jak ty w roku 1986 zaśpiewałaś to d trzykreślne...”, „Ależ Piotrze, to niemożliwe, że to pamiętasz!”, „Jakże mógłbym zapomnieć!” (*śmiech*). Pracując nad płytami Maestry, profesor Kusiewicz był mistrzem w wyszukiwaniu archiwaliów w Polskich Nagraniach czy Radiu Gdańsk. Docierał wszędzie, gdzie Halinka nagrywała. Mówił: „Ja wiem, że kiedyś u nich na półce widziałem te nagrania, one tam muszą być”. Trzeba było z kolei dojść do człowieka, który zajmuje się tymi archiwami, ale profesor bardzo dobrze zna środowisko, więc po jednym telefonie okazywało się, że drzwi stoją dla niego otworem. W roku 2009 profesor przywiózł też z Warszawy trzy portrety Halinki które na jego prośbę namalował artysta Jan Bernaś. Dwa z nich, czyli portret w stylu francuskim oraz portret w roli Konstancji w *Uprowadzeniu z seraju*, profesor przekazał do sali Halinki. Trzeci portret – umieszczony na sztalugach w sali koncertowej i będący piękną jej ozdobą – pozwolił nam podczas gali odczuć, że Halinka jest cały czas z nami.

Jakie – oprócz koncertu – wydarzenia znalazły się w programie I Gdańskich Dni Wokalistyki?

Wieczorem 19 listopada 2009 roku, w ósmą rocznicę odejścia Halinki, zebraliśmy się na nabożeństwie w Kościele św. Jakuba w Gdańsku. Oczywiście oprawę muzyczną mszy świętej tworzyli głównie absolwenci Maestry, jak Jacek Szymański, ale też i Darek Wójcik, który choć nie był jej absolwentem, ubóstwiał Halinkę tak jak wszyscy. Śpiewały też Julia Iwaskiewicz i Tania Szczepankiewicz, słowem: była nas tam cała plejada. Następny i najbardziej obfityjący w wydarzenia dzień rozpoczął się spotkaniem na cmentarzu w Gdyni, przejściem do grobu Maestry i złożeniem kwiatów. Nie było to wielkie grono, ale zające, bo na przykład ze Szczecina przyjechali pianista Andrzej Wakulski i Monika Myszkowska, pierwsza absolwentka Haliny Mickiewiczówny. Wróciliśmy do Gdańska na przedstawienie *Pchły szachrajki* Brzechwy w reżyserii Joasi Bogackiej, które było ukłonem w stronę poczucia humoru Halinki. Ja niestety nie mogłam zasiąść na widowni, bo jeszcze szykowaliśmy się do kolejnego punktu programu, czyli uroczystego otwarcia sali. Okazało się, że Tomek Sójka, który w niej się zamknął na całą poprzednią noc, żeby zdążyć poprzewieszać obrazy, w pewnym momencie przewiercił jakiś kabel i w rezultacie pozbawiony prądu musiał czekać na poranne przyjście naszego pana Franciszka. Na szczęście rano szybko się dało opanować ten problem techniczny, ale była taka chwila, kiedy pośrodku tego rozgardiaszu, mebli do odpakowania i ustawienia, jakichś papierów i sznurków, w ostatnich dosłownie kwadransach Tomek – prawdziwy artysta z powołania, ale niekiedy trzymający głowę zbyt wysoko w chmurach – z błogim uśmiechem wskazał mi jakiś obraz: „Oleńko, zobacz...” i zaczął się nad jego walorami rozwodzić. Wtedy pomimo tych całych emocji zdobyłam



Podczas promocji pierwszej płyty CD Maestry w Gdańskim Ratuszu Staromiejskim. Od lewej: Piotr Kusiewicz, Aleksandra Kucharska-Szeffler, Halina Mickiewiczówna. Fot. z archiwum Akademii Muzycznej w Gdańsku

się na ton apodyktyczny i powiedziałam: „Tomku, nie teraz!” (*śmiech*). I usłyszałam ciche, ale niemniej dobitne: „Dobrze, rozumiem”. Tak więc pani sprzątająca wszystko to szybkoitko ogarnęła i zdążyliśmy zamknąć perfekcyjnie wyglądającą salę, żeby potem wpuścić gości razem z Jego Magnificencją, który wstęgę przecinał. Po uroczystości nadania sali imienia udaliśmy się na najważniejsze wydarzenie programu, czyli koncert Katarzyny Dondalskiej z orkiestrą pod dyktando profesora Stanisławskiego połączony z promocją biografii *Ciepło głosu i serca*.

Wspominała Pani, że autorka książki bardzo się angażowała w przygotowanie tych uroczystości?

To był bardzo intensywny czas dla nas obu. Od momentu, kiedy wyznaczono datę I Gdańskich Dni Wokalistyki, byliśmy w niemal codziennym kontakcie. Trudno w tym miejscu nie wspomnieć, że książka nie powstałaby bez męża Katarzyny, pana Macieja Gawęckiego, który w dużej mierze sfinansował wydanie biografii. Kasia czuwała nad wszystkim, zadbała też o obecność fotografa i pani redaktor z myślą o prowadzeniu wywiadów podczas gali. Każdy szczegół omawialiśmy wspólnie, na przykład kolory na ścianach sali, wygląd plakatów czy zaproszeń, na których po tysiąc razy sprawdzałyśmy każdą literkę. Wstępne rozmowy z zaproszonymi gośćmi były z jednej strony przyjemne, ale z drugiej strony, gdy nas czas tak gonił, nieco wyczerpujące, bo osoby, które nie mogły stawić się na gali, tłumaczyły mi się całymi kwadransami, opowiadając przy okazji przez telefon całą swoją przeszłość, a ja tylko potrzebowałam odpowiedzi: przyjedziesz czy nie! Oprócz tego miałam codzienne obowiązki na uczelni i rodzinę, więc to wszystko było w niedoczasie, a tu na przykład kolejny problem, bo dzwoni Kasia: „Ola, przysłyż nowe ryzy papieru na książkę – w zupełnie innym odcieniu!”. Książka już jest w druku, z Czech przychodzi następna partia papieru, ale to nie ten kolor, więc nie można drukować dalej! Jednak zmobilizowałyśmy się, musiałyśmy też jakoś doposażyć salę Halinki. Pamiętam, ile się nabiegałyśmy z Kasią Gawęcką, szukając takich mebelków, które pasowałyby do naszych wspomnień czy wyobrażeń o Maestrze. W efekcie pojawiły się w sali ładne dwa foteliki i stoliczek oraz biurczko czy może raczej sekretarzyk. Zorganizowałam też akcję wśród przyjaciół, rozesłałam listy, że mamy takie a takie potrzeby i jeżeli ktoś chciałby nas symbolicznie wspomóc, to prosimy o kontakt, a tutaj jest numer konta uczelni... Bardzo dużo osób coś ofiarowało. Pomógł nam i pan Mirosław Jakubik, właściciel baru „Maestro”. Pan Janusz Maliszewski namalował fascynujący biało-szaro-czarny portret na podstawie zdjęcia Maestry, a Justyna Trapkowska podarowała portret Ady Sari, który wcześniej wisiał w mieszkaniu Halinki. Oba portrety zawisły w tym właśnie stylowym kąciuku Maestry z sekretarzykiem i lampką. Niestety, tę lampkę wszyscy mi wyciągają, by oświetlić sobie fortepian, ale właściwie nie ma się co dziwić, bo czasami jest tam troszkę ciemno, zwłaszcza jesienno-zimową porą.



Solistka: Katarzyna Dondalska, dyrygent: Przemysław Stanisławski.
Fot. z archiwum Akademii Muzycznej w Gdańsku

A druga gala, ta z 7 listopada 2023 roku? Wspaniała, zorganizowana z jeszcze większym rozmachem...

Nie, on chyba nie był większy, bo nie mieliśmy orkiestry. Po wiem szczerze: to było prostsze, dlatego że w roku 2009 nie było jeszcze Biura Promocji, które teraz w wielu rzeczach nas wyręczyło. Początkowo wyobrażałam sobie, że będzie bardzo skromnie – że będzie koncert, promocja drugiego wydania książki, uczymy pamięć Maestry i tyle. Jednak w pewnym momencie zwrócił się do mnie rektor: „Oleńko, musisz spotkać się z dyrektorem administracyjnym i z Biurem Promocji, razem omówcie wszystkie szczegóły”. A pan dyrektor Bogdan Theisebach powiedział: „Przecież ja znałem Halinę Mickiewiczównę. Ona raz jeden weszła na naszą próbę chóru na Uniwersytecie i ja ją od tamtej pory pamiętam jako niezwykłą osobę. Dla Haliny Mickiewiczówny trzeba stworzyć odpowiednią oprawę”. Ustaliliśmy, że dysponujemy dużą salą koncertową z widownią na czterysta kilkadziesiąt osób. Zapewnienie jej mogło się wydawać pewnym wyzwaniem, jeżeli się nie zrobi reklamy. Okazało się jednak, że Kasia Gawęcka zaprasza sto pięćdziesiąt osób, ja co najmniej sto kolejnych, i już nie było potrzeby tak szerokiej kampanii w mediach. Nie wiem, skąd Pani miała informację o gali?

Pani Katarzyna zaprosiła kuzynki mojego męża, czyli Hanne Orlewicz, z którą w 2020 r. przeprowadziła wywiad do uzupełnionego drugiego wydania biografii, oraz Ludmiłę Pilecką-Paluch, która nie mogła w tym czasie opuścić Krakowa, ale z charakterystyczną dla siebie życzliwością przekazała Adamowi i mnie zaproszenie. Hania Orlewicz, też absolwentka Akademii Muzycznej w Gdańsku, przyjechała z Elbląga i całą naszą trójkę jako karaimską rodzinę serdecznie powitała

Znani i nieznani

Portret Maestry



Wnuczka Maestry, Justyna Trapkowska (pierwsza od lewej), w gronie organizatorów i publiczności koncertu jubileuszowego. Fot. Anna Rezulak

Justyna. A gala była absolutnie wyjątkowa. Przypuszczam, że wymagała ogromnej pracy logistycznej.

Biuro Promocji okazało się niezwykle pomocne, zajęło się mnóstwem czynności, które poprzednim razem musiałam wykonywać sama. W zeszłym roku po prostu podczas wakacji i jeszcze we wrześniu obdzwoniłam wszystkie osoby, które chciałam poprosić o wzięcie udziału w koncercie. Rozmawiałam ze studentami i absolwentami Maestry, a także z wychowankami jej absolwentów. Wiedziałam, kto śpiewa, kto ma repertuar, ale pozostawały pytania: kto zechce, kto będzie mógł akurat w listopadzie. Najbardziej wzruszająca dla mnie była rozmowa z Iwonką Tober, którą wręcz uszczęśliwił fakt, że do niej zadzwoniłam z taką prośbą. A że ona przyjaźni się z włoskim pianistą Stefano Seghedonim, to jego od razu zaproponowała jako swojego akompaniatora i przyjechali razem na własny koszt. Nikomu z wykonawców nie musiałam nic płacić, oni wszyscy to zrobili z własnej serdeczności. Ja przecież nie znalazłabym takich środków, uczelni również nie było na to stać. Czyli pierwszy etap polegał na zabukowaniu artystów na koncert. Później dzwoniłam do wszystkich osób, o których wiedziałam, że chciałyby na rocznicową galę Halinki przyjść, a potem ponownie, by w ostatniej chwili potwierdzić ich udział.



Katarzyna Iga Gawęcka (pośrodku) z wydawcami książki Halina Mickiewiczówna. Ciepło głosu i serca. Fot. Anna Rezulak

Po zakończeniu koncertu na publiczność czekały jeszcze znakomita wystawa i wytworny poczęstunek.

Jeśli chodzi o wystawę, to zawsze przy takich okazjach kierujemy prośby do naszej biblioteki, do pani Faustyny Michałowskiej, która na co dzień opiekuje się archiwaliami. Ponieważ tam właśnie Justyna zdeponowała wszelkie archiwalia, panie bibliotekarki miały w czym wybierać i wystawa była bardzo udana. Natomiast o poczęstunek i jego oprawę zadbał pan dyrektor. Byłam bardzo szczęśliwa, że gala mogła mieć takie eleganckie zakończenie. Tak to się dzieje, że po ważnym koncercie jeszcze ludzie chcą na chwileczkę się zatrzymać, jeszcze wspólnie tę chwilę przeżyć. Ja o swoich występach mówię, że jeżeli po koncercie mogę z przyjaciółmi choć na moment usiąść przy herbacie i porozmawiać, to miałam koncert. A jak po koncercie tylko pakuję nuty, buty, przebieram się i idę do domu, to byłam w robocie (*śmiech*).

Jestem bardzo wdzięczna, że tymi składnikami pięknego dnia obdarowała mnie Pani dzisiaj: rozmową, herbatą oraz zaproszeniem na koncert André Ochodlo, którego od lat słucham i podziwiam. Dopiero od Pani dowiedziałam się, że kształcił się u Haliny Mickiewiczówny!



Książka Katarzyny Igi Gawęckiej *Halina Mickiewiczówna. Ciepło głosu i serca* jest do nabycia na stronie wydawnictwa Części Proste